

Podczas występu Kwartetu Lutosławskiego 29 listopada 2018 w Narodowym Forum Muzyki po raz pierwszy w Polsce zabrzmiał XV Kwartet smyczkowy Krzysztofa Meyera. Pamiętacie zapewne, jak wyrażałem swoje wątpliwości a propos twórczości Meyera w kilku poprzednich recenzjach? Pisałem o nieco kostycznym języku i zbytym przywiązaniu do estetyki Szostakowicza, którego zresztą kompozytor nie kryje.

Recenzent ma swój gust, jeśli jest osłuchany z muzyką klasyczną i wrażliwy, ten gust może być wskazówką dla pokrewnych mu melomanów. Dlatego jako recenzent nie silę się na całkowity obiektywizm, co w dziedzinie sztuki nie jest w pełni możliwe, choć istnieją dobre i złe dzieła w obrębie danej estetyki i ma to też wymiar obiektywny. Moje wcześniejsze uwagi na temat dzieł Meyera mogły się podobać pokrewnym estetycznie melomanom i mogły zadziwiać osoby zupełnie inaczej słyszające muzykę. Jeśli chodzi o XV Kwartet smyczkowy Meyera poczułem się mocno zaskoczony. Ogromnie mi się to dzieło spodobało. Kompozytor, zgodnie ze swoim zwyczajem, był na swój sposób konserwatywny. Odniesienia do Szostakowicza były tu słabsze niż zazwyczaj, ale dało się wyczuć wiele nawiązań do pierwszych dekad muzycznego modernizmu. Jednak pierwsza część kwartetu była, moim zdaniem, absolutnie doskonała. Olśniła mnie bez reszty. Idealna była w niej równowaga między prostotą i złożonością, oraz bardzo gustowny powrót do niemal romantycznej melodyjności opartej na swoistym *cantus firmus* wiolonczeli, który zresztą odzywał się w pozostałych częściach tego arcydzieła. Piękny, elegijny nastrój był stary jak forma kwartetu i jednocześnie bardzo świeży, przez co przejmujący i autentyczny.



Krzysztof Meyer, źródło YouTube

Krótko pisząc – wzruszyłem się. Znów brałem udział w ważnej dla muzyki chwili. Sędziwego już kompozytora spotkałem zresztą w windzie, ale zmęczony i zamyślony zdołałem pogratulować jedynie członkom Kwartetu Lutosławskiego, którzy w ten czwartkowy, mroźny wieczór dali z siebie chyba wszystko. Grali niezwykle ekspresyjnie i plastycznie. Samo brzmienie ich instrumentów sprawiało już przyjemność, cóż dopiero, gdy grali muzykę istotną, z rodzaju tych, które zmieniają światy wyobraźni.

Obok XV Kwartetu smyczkowego Krzysztofa Meyera pierwszą część koncertu wypełnił także sławny „Fratres” Arvo Pärta. Ten powstały w 1977 roku przebój muzyki klasycznej jest kochany nie tylko przez miłośników muzyki poważnej, ale także przez wrażliwych słuchaczy wielu innych gatunków muzycznych, od jazzu po disco zapewne. Ja mam z Fratres pewien problem – skrajna prostota tej dźwiękowej medytacji rodzi we mnie ciągle pytania. „Jak to jest możliwe, że tak prosta, intuicyjna wręcz

melodia, grana w kółko na tle burdonu, wywarła taki wpływ na naszą muzyczną współczesność? Jak to możliwe, że mimo prostoty Fratres czuć w niej niezwykłą indywidualność, rzecz nie do podrobienia?”. Fratres było jednym z pierwszych kroków do pełnego Pärtowskiego „duchowego minimalizmu”. Dzięki płycie Wrocławskich Filharmoników dla ECM z symfoniami Pärta możemy łatwo dowiedzieć się, jaki był Pärt przed odkryciem swojej minimalistycznej ścieżki. Nie był tylko neoklasykiem, oferował znacznie szersze spektrum muzycznych języków i inspiracji. Mam wrażenie, że trochę szkoda, że aż tak się ograniczył, lecz z drugiej strony właśnie dzięki temu ograniczeniu stał się rozpoznawalny na całym świecie. Jakkolwiek by nie było, Kwartet Lutosławskiego zagrał jedną z najbardziej ascetycznych wersji Fratres doskonale, z ogromnym skupieniem, z nieziemską wręcz świadomością najdrobniejszych detali i odcieni dynamicznych.

W drugiej części koncertu Kwartet Lutosławskiego zaprezentował jedną ze swoich specjalności, czyli twórczość Grażyny Bacewicz. Zespół nagrał dla powszechnie dostępnego na świecie labelu Naxos komplet kwartetów Grażyny Bacewicz. Tym razem usłyszeliśmy IV Kwartet smyczkowy, który mimo ludowych konotacji i neoklasycyzmu, który był wymagany w PRL w latach pięćdziesiątych, gdy dzieło powstawało, zachował świeżość i oryginalność. Neoklasycyzm i odwoływanie się do wzorców ludowych były Bacewicz bliskie, zatem nie zmuszała się do takiej estetyki, lecz niejako oddychała nią naturalnie. I czwartym kwartecie nadal to słychać – nie brakuje tu rozwiązań śmiałych formalnie i bardzo nastrojowych. Kwartet Lutosławskiego poruszał się w tym świecie jak przystało na znawców.

Na koniec koncertu usłyszeliśmy dojrzały kwartet smyczkowy głównego twórcy tej formy – Józefa Haydna. Kwartet smyczkowy

d-moll op. 76 nr 2 „Kwintowy” ma niezwykle, zaskakujący początek. Z abstrakcji wyłania się pełna wewnętrznej równowagi opowieść. Muzyka Haydna wymaga wiele od wykonawców. Aby ją przekazać słuchaczom, trzeba być choć trochę filozofem. Kwartet Lutosławskiego zostawił to sobie na koniec koncertu i zdał egzamin z filozoficznego stoicyzmu, zamiłowania do niespodzianek i pogody ducha bez pudła. To był świetny koncert! Polecam przy okazji płyty Kwartetu Lutosławskiego, z których kilka już recenzowałem.